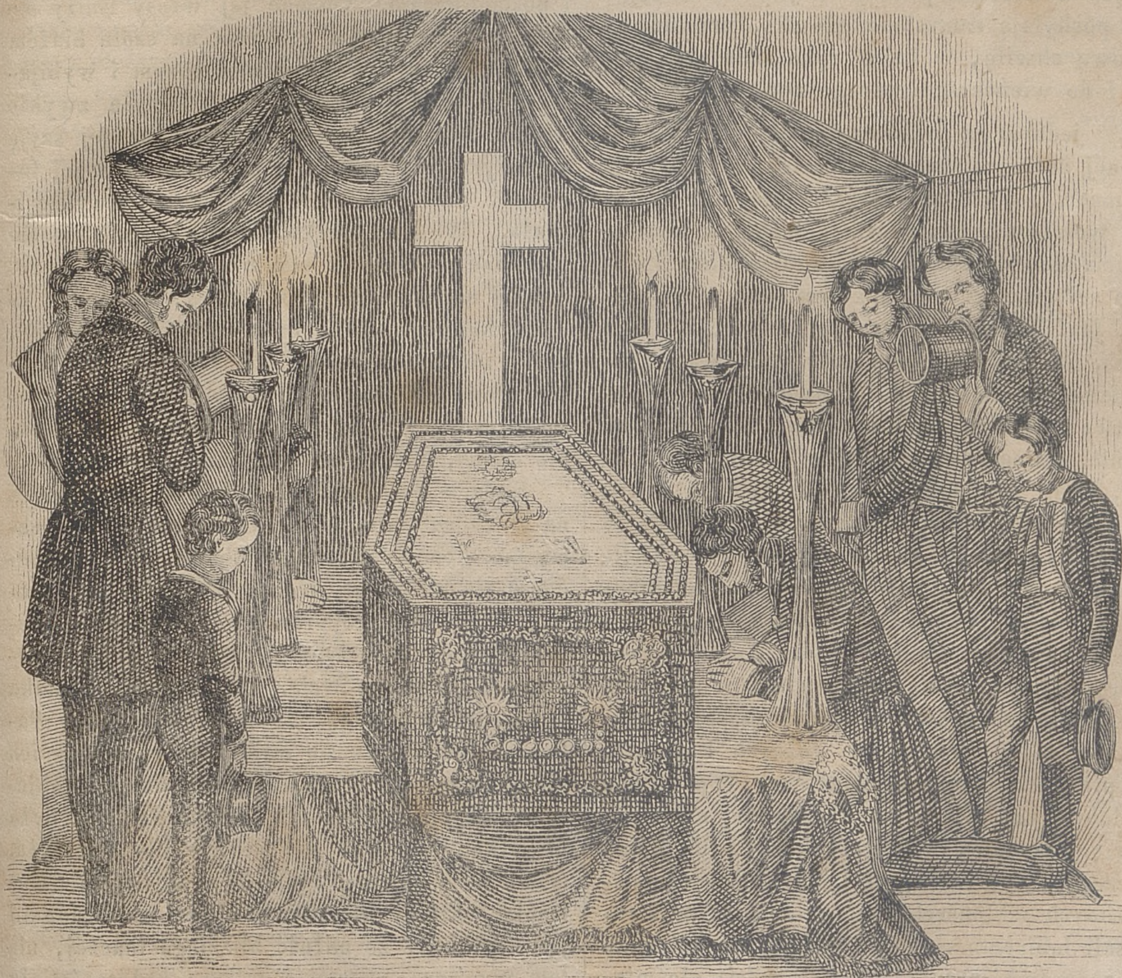
**Nr. 42.** **Rok 14.**

# PRZYJACIEL LUDU.

**Leszno,** *dnia 16. Października 1847.*





*Oddanie zwłoków O'Connella jego familii na parostatku Księżna Kent.*

## Panna Postępowa.

Opowiadanie przez Józefa Korzeniowskiego.

*There are more things in heaven and earth, Horatio,*
*Than are dreamt of in your Philosophy.*
Hamlet.

Z téj strony Chełma postrzega podróżny na lewo obszerną dolinę, zarzuconą wioskami, których ogrody i dwory okazują jeszcze Podolską i Wołyńską zamożność. Jak tylko oko sięga, widać tam pokrzyżowane drogi, po większéj części wysadzone drzewami, tu i ówdzie wysokie i białe kościółki, wieńcem starożytnych lip otoczone, a na polach wszędzie staranną uprawę, żywszą wegetacyą, liczne trzody bydła i owiec, i gdzieniegdzie przesuwający się powóz, który dzielna czwórka od jednego dworu do drugiego przenosi. Okolica to gościnna, obfitująca w dorodne panny, co jak dokwitające róże pochylają zamyślone główki, przeczuwając ową chwilę, w któréj ręka śmiała je zerwie i do wieńca społecznego życia zaplącze.

W jednym z najokazalszych dworów téj pięknéj doliny mieszkała rodzina, złożona z ojca, matki i córki jedynaczki. Major S*, dawny wojskowy, bez wielkiéj nauki, z wychowaniem niewykwintném, ale z rozsądkiem i dobrém sercem, był owym zwyczajnym obywatelem, jakich mamy jeszcze po wsiach, i jakich liczba, nie powiem, że z dobrem rodzin i kraju coraz się umniejsza. Prowadził on gospodarstwo z akuratnością szwadronową; polował chętnie, marząc na stanowiskach o młodych latach, które mu przeszły na placówkach i wedetach; lubił czasem puścić się w opowiadanie dawnych czasów w gronie przyjaciół i z kieliszkiem w ręku: od kart nie stronił, ale dobrą Polską książkę, dobrą dykteryjkę, przenosił nad wszelką zabawę. Pani S* była to tak nazwana prosta i dobra kobiéta, co u nas w dziwném wykręceniu wyrazów, w dziwniejszém jeszcze rozbiciu głów naszych na różnych kopytach, jest prawie ubliżającym epitetem. Wprawdzie nie lubiła ona mówić po Francusku, nie ubierała się modnie, nie wprowadziła do domu wieczornych obiadów, płukania ust w ciemnobłękitnych szklaneczkach; nie zrobiła ze swojéj sali labiryntu mebli, i nie kazała sobie na wsi anonsować przybywających gości; ale miała niewyczerpaną uprzejmość dla wszystkich, kochała męża, obchodziła się po macierzyńsku ze sługami, i co oszczędziła czasu nie czytając Francuskich romansów, to łożyła na gospodarstwo; co zostało z wydatków przez nieprzepłacanie wykwintnych strojów, to szło na obfite, przystojne i Staropolskie uczęstowanie przybywających w dom jéj sąsiadów. Z tych kilku rysów łatwo czytelnicy wniosą, że dom taki miał przyjaciół, że gościnność tak szczéra, tak niezmordowana, tak wylana, napełniała go często liczném gronem, tém bardziéj, że pod tym dachem, gdzie każdego czekało serdeczne powitanie, rozwijał się i jaśniał kwiat pełen powabu i nadziei. Byłato owa córka jedynaczka, dwudziestoletnia panna, obdarzona od natury śliczném ciałem, okiem dużém, błękitném, pełném wyrazu; uśmiechem cudnym, chociaż najczęściéj ironicznym i wzgardliwym, głosem dźwięcznym, który objawiał serce pełne mocy i postanowienia. Ciemne jéj włosy lśniły się silnym kasztanowym reflexem na czole białém i gładkiém, z którego jaśniał rozum i wybijała myśl męzka i energiczna. Nosiła zwykle długie loki, których cień padał na jéj szyję nadzwyczajnéj białości, i z któremi ręka jéj foremna, przy słuchaniu mówiących, zwykle igrała. Wysoka, giętka, nadawała ciału swemu powabne postawy w staniu i siedzeniu; szczególniéj umiała chodzić z gracyą, co rzadko umieją kobiéty. Taką była panna Salomea S*, która do téj piękności tak głośnéj, tak powszechnie uwielbianéj, żadnéj nie przywiązywała ceny, i przez ten brak próżności, wcale nie udany, tém się niebezpieczniejszą stawała.

Rodzice z miłością i podziwieniem patrzyli na to cudne stworzenie. Ojciec rozważał, rozmyślał, komuby skarb taki oddać; matka w poddaniu się religijném klęcząc i modląc się, prosiła Boga, aby przyprowadził do domu dobrego człowieka, w którego ręce złożyłaby nadzieje i cel swego życia. Ale i ojciec i matka postrzegali z trwogą, że w głowie panny Salomei zagnieździły się myśli, które mogły ich plany zniweczyć i nawet modły dobréj kobiéty zrobić nieskutecznemi. Panna Salomea była filozofka, która w nic prawie nie wierzyła, tylko w sylogizm; była owa dzisiejsza filantropka, któréj się zdawało, że w ewangeli jest myłka, i że miłość bliźniego inaczéj, niż tam wypisano, rozumiéć należy; byłato śmiała argumentatorka, która nawet w tém żądała postępu, co nie należy do ziemi, co nie jest wy-

robem rozumu. Słowem, byłto prześliczny potworek, który najstósowniéj (?) panną postępową nazwać można. Wprawdzie chodziła ona do kościoła, czytała na książeczce ładnie oprawnéj; ale jéj dusza zapomniała szczeréj, dawniejszéj modlitwy. Nie byłato już bowiem owa śliczna i marząca Salunia, która nie raz po godzinie całéj klęczała w swoim pokoiku, białe rączki złożone trzymała przed koralowemi ustami, i oczy błękitne, uperlone łzą poetyczną, wlepiała w obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj. Byłato dumna rozumem panna Salomea, mająca pełną głowę argumentów przeciw wszelkim przesądom, wszelkiéj wierze w związek nasz ze światem zazmysłowym, śmiejąca się z wszelkiego cudu, z każdego zjawienia, którego wyrozumować nie mogła. Admirowała ona wprawdzie wielkość stworzenia, rozprawiała nawet o Bogu; ale w zadziwiającym ruchu światów pojmowała tylko siłę ciężkości, a na niebie, rozjaśnioném milionami słońc, widziała tylko iskry elektryczne. Ta przesadzona ufność w rozum, odjęła jéj sercu poezyą religii, i zmniejszyła nawet jéj cześć i wiarę w rodziców, co jest drugą religią na ziemi. Gdzie umysł jéj nabrał tego kierunku, wyszczególniać nie będę. Czytelnicy, znający historyą omackowych wędrówek głów naszych, łatwo się domyślą. Powiém tylko, że przez rok cały nie była w domu, i wróciła tam z nowemi myślami, z sercem zupełnie odpoetyzowaném. Wszystko też wydało się jéj nie takiém, jakiém było wówczas, kiedy ukończywszy pensyą, pod dach rodzicielski weszła. Ojciec teraz tłumaczył się jakoś nielogicznie; matka nie zdawała sobie sprawy z miłości swéj dla męża i córki; słudzy bez żadnéj podstawy kochali swoich panów, których, według ścisłego wyrozumowania, powinni byli nienawidzieć. Piérwszego kawalera, który jéj oświadczył swoje uczucia, zapytała: „Dla czego pan mię kochasz? jaką masz zasadę?“ Objawiła rodzicom pół żartem, pół seryo, aby jéj nie narzucali nikogo, aby sobie nad tém bynajmniéj nie łamali głowy, gdyż minęły te czasy, kiedy ojciec i matka mogli wiedzieć, co do szczęścia ich córek potrzebne; że ona sama sobie wybierze wyższą inteligencyą, co z jéj własnego stanowiska spójrzy na teraźniejszy stan rzeczy, i na ten ważny fakt życia, osnuty jeszcze w dawniejsze przesądy. Ojciec żartował sobie z tego rozumowania, ale matka skrycie płakała. A chociaż szczęściem panna Salomea nie miała sposobności poprzéć czynem swoich oświadczeń, ale rozumek jéj gotów był do buntu, i leżał w nim zgromadzony cały arsenał argumentów, które w razie potrzeby do stanowczego oporu posłużyć jéj miały.

Jednego rana, na początku Czerwca, stała panna Salomea w otwartém oknie, i chciała sobie zdać sprawę z tego szczęścia, z téj radości, z tego, że tak powiem, zdrowia duszy, które czuła w swém łonie na widok okrążającéj ją natury. Okno to wychodziło na dziedziniec obszerny, usłany murawą, na którego środku stało kilka lip starożytnych, obsypanych kwiatem. Z lewéj strony widać było gazony, kwieciste bukiety i klomby pięknego ogrodu, który się daleko rozciągał. W środku sztachetów, oddzielających ogród od dziedzińca, stał nie wielki murowany kościółek z wychodzącą naprzód wystawą. Wprost przed oknami na drugiém podwórzu, szły budynki gospodarskie i stajnie majora. Na prawo była brama wjazdowa, ubrana prześlicznemi topolami, a wychyliwszy się cokolwiek z okna, można było widzieć drogę széroką, równą, ciągnącą się przez wieś; daléj groblę z huczącemi młynami i wielkie zwierciadło wody, nad którą stały wiérzby i młode topole. Świéżość ranku, ciepło ożywiające lata, czyste jak szafir niebo, śliczna, zielona, pełna darów bożych ziemia, wciskały gwałtownie w jéj serce fale szczęścia, które panna Salomea powoli przez filozoficzne *dla-czego*, jakby przez śluzę jaką wpuszczała. Wszakże wrażenia, które odbiérała, były silniejsze od téj nienaturalnéj zapory i już ją rozerwać miały, bo panna Salomea czuła, że się jéj łzy zakręcają w oczach, gdy weszła matka blada, strwożona i zapłakana.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

## Znikłe ideały.

Szalony jestem, — tak w duszy szalony,
Jak nigdy szalony, — szaleńszy nie byłem,
Rozpaczą piekła, — trucizną trawiony,
Polegnę dziś w grobie, — o którym nie śniłem.
O! ja w pogody zaraniach bujałem,
Słodką rozkoszą poiłem mą duszę,
I po promieniach wszechszczęścia leciałem,
A dziś piekielne mię dręczą katusze! —
Na Afrykańskie polecę z tąd puszcze,

Tam skwarem ognia sycić gorzkie życie,
Zaklinać twarde, — bezsercowe tłuszcze,
I wlewać w głazy iskrę ducha skrycie. —
Tam tchu zaczerpnę; pod żarem sklepienia
Pierś skaleczoną trzyć będę balsamem,
W gorącém tchnieniu, w zachwycie płomienia,
Odetchnąć życiem, — och! w duchu tym samym! —
Gdzież są obrazy, — piękne malowidła,
Co żywot duszy nektarem poiły? —
Niebne me iskry, — pachnące kadzidła, —
Gdzieście rozpierzchły, — w powietrzu zgineły?! —
O! ja w nadziei świetnych ideałów —
Pieściłem duszę — i oko w zamroce, —
A z moich bystrych, — ognistych wystrzałów,
Gdzieś-no popioły, — dym w głębi migoce. —
O! ja szalony, — tak w duszy szalony, —
Jak nigdy szalony, — szaleńszy nie byłem,
Rozpaczą piekła, trucizną palony —
Straciłem kwiat życia, za którym goniłem!

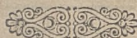
*Andrzéj P.*



## Myśli moja.

Jedno ciało, — jedna dusza,
Tworzy życie, — myśl porusza,
W nieskończonéj dum harmonii,
W rozstrzeń świata pieśnią dzwoni,
I na falach wichrów pędzi,
Po wieczności muz krawędzi;
Słońcem wstaje, — rodzi maje,
Światłem błyszczy, świetni kraje; —
Duch odwieczny — jeden — myśli, —
Duch człowieczy po nim kryśli,
Wielkie dzieje, wielkie dźwięki,
Słyną w głębi harfy brzęki! —
Któż odgadnie, zrozumieje —
Twórczość ducha, — słynność twarzy?
W walce świata człek buduje,
Kto nie poznał, — we śnie marzy! —

*Andrzéj P.*



## Campanella i sonet jego o Polsce.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Campanella przebrany po chłopsku wymknął się z rąk siepaczy w towarzystwie starego ojca, jedynego człowieka, któremu się mógł był powierzyć. Przez kilka dni błąkając się w górach, wycieńczeni, zmorzeni głodem, bez grosza w kieszeni, przybyli nad brzeg Roncelli, z kąd widać było sąsiednie wybrzeża Sycylijskie. U lądu stała łódka, która za godzinę mogła ich przeprawić na drugą stronę, i wolność im zapewnić. Rybak przystał na przewóz, lecz zażądał pieniędzy, a oni grosza nie mieli. — O nieszczęśliwy Campanello! woła pewien współczesny — dla braku kilka talarów, niemógłeś się ocalić!

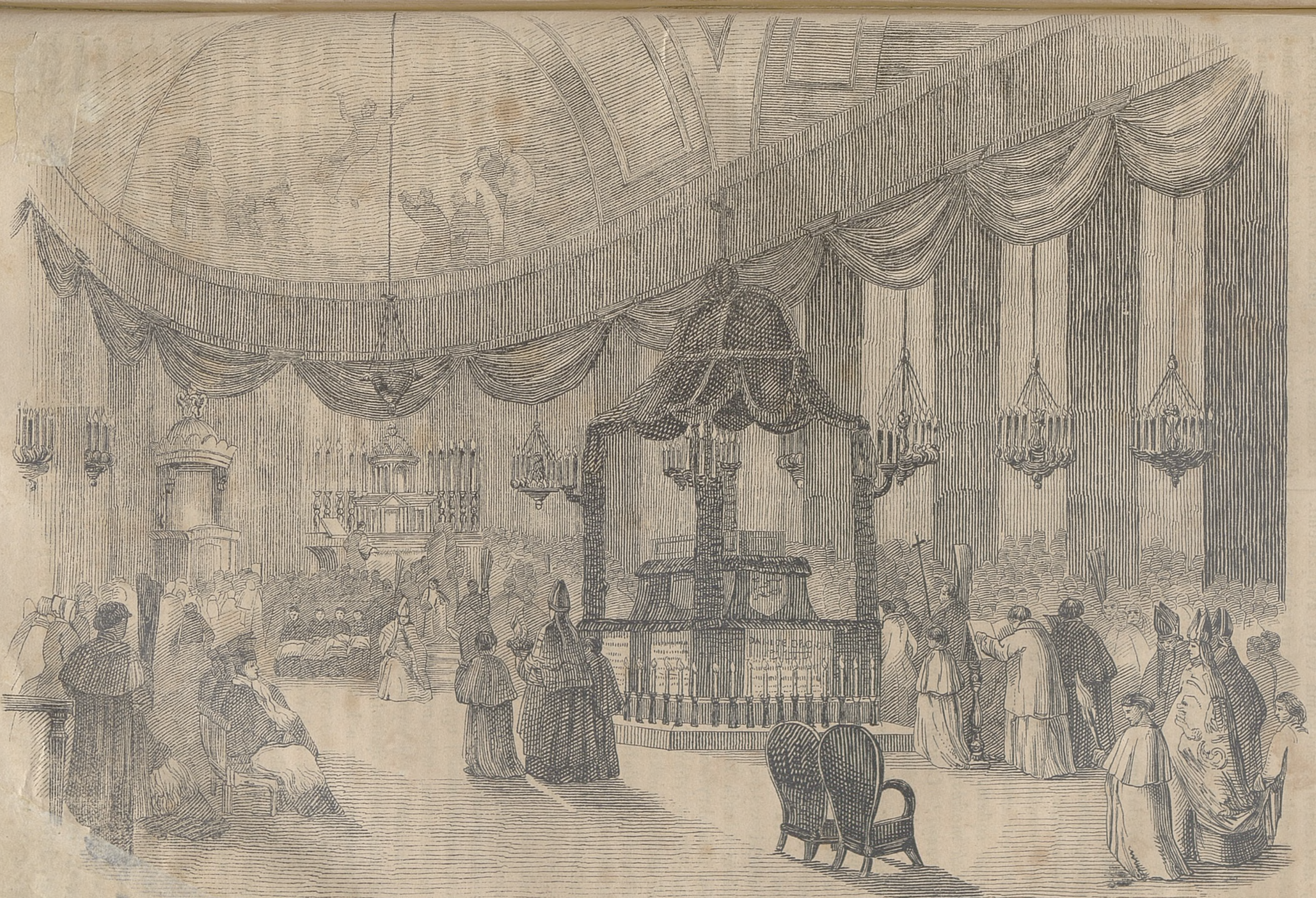
Ojciec Campanelli, pełen rozpaczy, ukrywa syna w chacie jakiegoś wieśniaka, a sam bieży szukać innéj łodzi. W czasie jego niebytności Campanella okazuje niepokój i trwogę, co wznieca podejrzenie w chytrym rybaku. Zdradliwy lazarrone wymyka się chyłkiem i bieży z doniesieniem do Caraffy, gubernatora Roncelli. Caraffa kazał pojmać tułacza i związanego oddał w ręce Spinellemu. Była to godzina najsroższéj boleści dla Campanelli, kiedy go wydano na ofiarę zemście rządu Hiszpańskiego. On pałający dla ludu taką miłością; on, co go chciał oświecić, wychować do wolności, widzi się teraz niegodnie zdradzonym, zaprzedanym przez człowieka z ludu!

Zapewne pamięć téj chwili natchnęła mu *sonet*, pod tytułem: *Lud*, z którego trzy ostatnie wiersze przytaczam:

....Nie wie, że ziemia jak długa, széroka,
Jego dziedzictwem; niechże go ostrzeże,
Kto o tém... swego zabije proroka! —

### III.

Campanellę zawieziono do Neapolu i osadzono w więzieniu wilgotném i nieczystém. Większa część spiskowych będąc księżmi, zależała od juryzdykcyi duchownéj. Nuncyusz apostolski wstawił się u rządu Hiszpańskiego, lecz nie mógł nic otrzymać. Naczelnik kościoła stracił był dawną niepodległość i potęgę. Tymczasem katy Hiszpańskie wysilają się na wszystkie rodzaje mąk i tortur, aby z nieszczęśliwego Campanelli wycisnąć jakie zeznanie; ale darmo! niezłamaną potęgą ducha nawet i prześladowców zadziwia, i zmusza ich, że z podziwieniem mówią: *to jakaś dusza twardsza niż Spartańska!* Posłuchajmy jego słów własnych, w których daje obraz swych długich cierpień: „Byłem zamykany najmniéj w pięćdziesięciu różnych więzieniach, i siedm razy brano mię na najcięższe tortury. Ostatnią razą męczono mię czterdzieści godzin. Skrępowany powrozami, które do kości obdarły mi



*Nabożeństwo żałobne w kaplicy Marlborough.*

ciało, zawieszony, z rękoma w tył związanémi, nad ostrym palem, zostawiłem na nim przynajmniéj szóstą część mego ciała i wytoczyłem z dziesięć funtów krwi; po czterdziestu godzinach, mając mię za umarłego, położyli koniec katuszy. W ciągu, jedni szkalowali mię, drudzy, aby powiększyć męki, targali za powróz, na którym wisiałem; inni znowu w cichości odwagę moją podziwiali. Nic to nie pomogło, ani jednego słowa z ust mych wydrzéć nie mogli. Po sześciu miesiącach choroby, wyzdrowiawszy prawie cudem, wtrącony zostałem w loch podziemny. Piętnaście razy stawiono mię przed sądem. Piérwszy raz, gdy mię spytano: *Jak możesz to wiedziéć, czegoś się nigdy nieuczył? Czy masz szatana na swoje rozkazy?* (obwiniano go o czarnoksięstwo), odpowiedziałem: Abym się nauczył to, co wiém, więcéj spaliłem oleju, niż wyście wina wypili. Znowu oskarżono mię o napisanie książki, pod tytułem: *Trzej oszuści*, która trzydzieści lat wprzódy była wyszła na świat, niż ja z żywota matki wyszedłem. Obwiniano mię, że podzielam zdania Demokryta, chociaż pisałem przeciw Demokrytowi. Zarzucano, że niesprzyjam kościołowi, chociaż napisałem dzieło o monarchii chrześciańskiéj, gdziem dowiódł, iż żaden filozof nie zdołał wymarzyć takiéj rzeczpospolitéj, jak owa, którą w Rzymie założyli Apostołowie. Nakoniec obwiniono o bunt i herezyę, z tego powodu, iż utrzymywałem, jako są znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach. Za to wrzucili mię jak Jeremiasza w taką bezdeń, gdzie niéma ani światła, ani powietrza.“

Inny umysł mniéj tęgi, byłby storazy upadł pod brzemieniem tylu męczarni; lecz Campanella, utworami swéj wyobraźni rozświécił i ubarwił ciemnicę więzienia; nie o żadne łaski prosił wrogów, lecz o książki, papier i pióra. Z początku boleść jego wylewała się w poezyach; potém duch badawczy i filozoficzny zatopił się w głębokościach nauki. Wymazany prawie z liczby żyjących, pisał dla świata ustawy moralne i polityczne. Nie było rzeczy, któréjby nie poruszył. Naprzód pisze o nieszczęśliwym stanie Kalabryi, i podaje rządowi Hiszpańskiemu sposoby poprawienia losu mieszkańców. Znowu w inném dziele wypowiada walkę Machiawelowi; nowe pomysły rzuca do sztuki lekarskiéj; marzy o *mieście słonecznem*, które urządza na wzór rzeczpospolitéj Platońskiéj, z tą jednak różnicą, że zaprowadza bezwarunkową równość, i zasiewa to ziarno, które późniéj z niego zebrali Sę-Symon i Furie. — Nadzwyczajny ten człowiek z głębi więzienia napełniał Europę odgłosem sławy swojéj. Dwaj przyjaciele, którym powierzał rękopisy, drukowali je w Niemczech, z kąd się rozchodziły po Francyi, Anglii i Włoszech. Już siedm lat minęło, od czasu jak go pozbawiono światła dziennego i wolności, gdy Papież Paweł V. wstawił się za nim u rządu Hiszpańskiego. Wice-Król odmówił; kościół wtedy nie rozkazywał, lecz odbierał rozkazy.

*Wolny w okowach*, jak sam o sobie mówił Campanella. Zapominał o prześladowcach, i tylko oddawał się naukowym pracom. W tenczas to napisał był obronę Galileusza, prześladowanego równie jak on. Jakiż ślachetny postępek! Gardzi własném niebezpieczeństwem, nieobawia się rozdrażnić nieprzyjaciół, ujmując się za prawdą, którą chciano potępić w odkryciach Galileusza.

Lata wloką się po latach; Wice-Królowie zmieniają się i umierają, a Campanella zawsze jęczy w więzieniu. Wprawdzie cieniem jakiéjś wolności osłodzono mu męczarnię; mógł bowiem pisywać do najuczeńszych ludzi swego czasu, i odbierać dowody współczucia od różnych wielbicieli. Jeden z Stuartów, Jakób I., ciągle z nim korrespondował, a filozof Francuski Gassendi rozprawiał z nim w przedmiotach filozoficznych. Mnóstwo ciekawych i uczonych miało przystęp do niego; co wszystko dowodziło, że dziewiętnaście lat więzienia, zmiękczyło zatwardziałość samych prześladowców i stróżów. Jednak niespodziewany wypadek ściągnął nań nowe cierpienia.

## *IV.*

W roku 1619 Don Pietro Giron, Książę Ossuny, był Wice-Królem Neapolu. Historycy Hiszpańscy wystawiają go jako dzielnego żołnierza, nieprzyjaciela dworaków, a przyjaciela ubogich; on to zmniejszył podatki ciążące na ludzie, i bronił go od uciemiężenia możnych. Odwiedzając często Campanellę w więzieniu, powziął ku niemu przyjaźń i szacunek, i często rad jego słuchał. Powiadają, że podbity przedsiębiorczym duchem naszego Dominikana, powziął zuchwałą myśl wypowiedzieć podległość Hiszpanii, i utworzyć udzielne królestwo

Neapolu i Kalabryi. Rzecz pewna, że jeżeli ten pomysł nie wyszedł z natchnienia Campanelli, tedy przynajmniéj został przez niego poparty.

Książę Ossuna zerwał ze swoją władzą, lecz nie mógł się jéj oprzéć. Połączone wojska Hiszpańskie z Papiezkiemi wyparły go z Neapolu; a Campanella przypłacił surowszém więzieniem za tajemną przychylność ku spodziewanemu oswobodzicielowi ojczyzny.

W dwa lat potém, dowiedziawszy się o zgonie Papieża Pawła V., który jeden wstawiał się za nim u rządu Hiszpańskiego, zawołał w bolesnéj rozpaczy: „Chyba z życiem mojém skończy się to więzienie!"

Lecz tegoż samego roku umarł Filip III., Król Hiszpański, i słaby promyk nadziei wstąpił w duszę męczennika. Arcybiskup z Catanzaro przemówił za nim u nowego Papieża Urbana VIII., który po pięcioletnich umowach i naleganiach otrzymał nakoniec wolność Campanelli. I tak, r. 1626 dnia 15. Maja, po dwudziestu sześciu leciech cierpień, wrócony został społeczeństwu, przeciw któremu jednak nic nie zawinił.

Papież obawiając się, aby Campanella znowu nie wpadł w szpony nieprzyjaciół, zawezwał go do Rzymu, i pod pozorem, aby się oczyścił z zarzutów herezyi, naznaczył mu mieszkanie w więzieniu inkwizycyi. Urban nienawidząc Hiszpanów, obchodził się z nieszczęśliwą ofiarą jak najlepiéj. Mimo tego niektóre zakony, mianowicie Jezuici, zawzięci przeciw niemu za światło, jakie rzucał w swych pismach, zaczęli knować i burzyć umysły na heretyckiego filozofa. Campanella, acz ze zwątlonèm zdrowiem, wzbudził w sobie młodzieńczą dzielność i stanął w obronie swych nauk. Ta obrona jego zwaliła przeciwników; sam Ojciec święty za nim się oświadczył i pozwolił mu wyjść z więzienia inkwizycyi, gdzie dwa lata zostawał. Cała uczona Europa poklasnęła na ten czyn Papieża. Hrabia de Noailles, podówczas Ambasador Francuski w Rzymie, powziął był wielką przyjaźń ku Campanelli i przyrzekł mu protekcyę, gdyby mu zagrażało nowe jakie niebezpieczeństwo.

Nie wiele czasu wyszło, a Campanella musiał korzystać ze wspaniałego oświadczenia się Ambasadora. Hiszpanie spiknąwszy się z niektórymi mnichami, głośno krzyczeli po Rzymie, że Papież pozwala heretykowi i buntownikowi używać wolności. Fanatyzm prześladowców do tego się posunął, iż nasadzono nań zbójców. Campanella nie widząc innego ratunku, chroni się w pałacu ambasady Francuskiéj, ale i tu nie widząc się bezpiecznym, nieprzyjaciele bowiem podburzyli lud przeciw niemu, który otoczył pałac i domagał się, aby mu heretyka wydano. Hrabia de Noailles, widząc na co się zanosi, przybiega do Campanelli i powiada mu: Uciekaj! w moim powozie wyjedziesz z Rzymu, a we Francyi czeka cię gościnność. — Nieszczęśliwy jeszcze się wahał, przerażała go myśl tułactwa i wygnania, lecz w téj chwili nadbiegł posłaniec od Papieża i toż samo powtarza: Uciekaj, lud jest wzburzony; Papież ci sprzyja, ale cię zasłonić nie potrafi! — Nie było więc innéj rady, przebrany za Bernardyna, z rekomendacyjnémi listami do Ryszeliego, wyjechał z Rzymu i po szczęśliwéj żegludze przybił do Marsylii.

We Francyi najuczeńsi ludzie spotykali go i ugaszczali u siebie; przejazd jego można było nazwać prawdziwym tryumfem. W Paryżu Ryszelie polubił go jako człowieka myślącego i jako nieprzyjaciela Hiszpanów. Ludwik XIII. dał mu posłuchanie w Saint-Germain, i z odkrytą głową postąpił kilka kroków ku biednemu mnichowi i po dwakroć go uściskał, mówiąc: Rad jestem widzieć was we Francyi; jesteście pod moją opieką; na niczém zbywać wam nie będzie; żyjcie więc spokojni i weseli!....

Po tylu latach cierpień znalazł we Francyi spokój i cześć powszechną. Lubo w podeszłym wieku i na zdrowiu zwątlony, nie przestawał oddawać się pracom naukowym. Skłonność jednak do prorokowania nieopuściła go do ostatniéj chwili, albowiem nie długo przed śmiercią, przepowiedział, iż zaćmienie słońca przypadające 1. Czerwca 1639, będzie dlań zgubném. Jednakże kilką dniami wcześniéj rozstał się z tym światem w 71. wieku życia swego.

## V.

Naukowe prace tego żelaznego, że tak powiem, człowieka, stawią go w rzędzie nie wielkiéj liczby filozofów, którzy nie tylko powiadali drugim, co robić i jak robić, ale sami z siebie dali najpierwszy przykład. Zdaniem mojém, poezye jego są najciekawszą i najwznioślejszą stroną jego twórczości; tam się dopiero

maluje i wielkość duszy w nieszczęściu i moc, i ten umysł wyższy, który wszystko mierzy na miarę najgłębszych prawd żywotnych. Nie można dzisiejszemu czytelnikowi, mianowicie w obecnych chwilach, czytać jego sonetów, bez silnego wzruszenia, albowiem są one jakby echem uczuć naszych i cierpień. Zachowując sobie przekład ich na czas późniejszy, na teraz przytaczamy *sonet* jego o Polsce, zapewne napisany z powodu wybrania Henryka Walezyusza.

*Sonet do Polski.*

Polsko! tyś wyżéj nad królestwa one,
Kędy się berło dziedzictwem osięga —
Ojciec był wielki, a syn niedołęga,
Więc na innego przenosisz koronę.
Lecz jakiż, pytam, z tąd rośnie pożytek,
Jeźli powołasz wyrocznią wyboru,
Jakie Książątko zepsutego dworu,
Co ci w dom wniesie rozpustę i zbytek?
Poszukaj raczéj gdzie pod skromną szatą
Numy, Katona, albo Trismegista;
Bóg takich męży zwykle chowa na to.
Pod takim władzcą zawsze lud skorzysta;
Bo w nim nie imie, nie ród dawny płatą,
Lecz nieśmiertelne czyny, cnota czysta.

*L. S.*

Text do *Nru. 6.*

*Od Szczucina i Augustowa.*

1.

Rozbujały się siwe gołębie po wodzie,
Zadumali się młodzi rekruci w pochodzie.
I zagruchały siwe gołębie na wodzie,
I zapłakali młodzi rekruci w pochodzie.

2.

A idźcież, idźcie do mego ojca w pokoje,
Niechże on, niechże mnie z téj niewoli dostaje;
Niechże on, niechże te czarne woły sprzedaje,
Mnie z téj niewoli, mnie z téj niedoli dostaje.

3.

A idźcież, idźcie do mego brata w pokoje,
Niechże on, niechże mnie z téj niewoli dostaje;
Niechże on, niechże karego źrebca sprzedaje,
Mnie z téj niewoli, mnie z téj niedoli dostaje.

4.

A idźcież, idźcie do mojéj siostry w pokoje,
Niechże ona niech mnie z téj niewoli dostaje.
Niechże ona, te kury i gęsi sprzedaje,
Mnie z téj niewoli, mnie z téj niedoli dostaje.

5.

A idźcież, idźcie do mojéj matki w pokoje,
Niechże ona, niech mnie z téj niewoli dostaje;
Niechże ona te siwe gołębie sprzedaje,
Mnie z téj niewoli, mnie z téj niedoli dostaje.

---

**Słowacy w okolicy Trenczyna i Bystrzycy śpiewają pieśń podobną do *No. 2., 3. i 4.*, — która tak brzmi:**

Czerne oczy, pod'té spat,
Bo musité rano wstat;
A to rano raniczko,
Keď wycháza slnieczko;
Už slnieczko wychodj,
Má miła se prechodj —
Prechodj se po rynku,
Donésé nám nowinku;
Nowineczku takowu,
Že na wojnu werbuju,
Keď werbuju, budú brat,
Szkoda chłapców na stokrát!
Daju koňa i száty,
I klobuczik robáty —
Za klobuczik pentliczku,
A ku boku szabliczku,
A do ruki karabin,
Už tiá miła zostawim —
Zostaň miła komu chcesz,
Už ty moja nébudész.



**№6.**

*Rozbujały się siwe gołębie po wodzie zadumali się młodzi rekruci w pochodzie.*

---

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)